

Macia Rutkowska

Jo van Ammers-Küller prawdziwa

...i tylko, kiedy burza morską bije o brzegi, w kraju rodzi się niepokój. Ludność całego wybrzeża upuszcza swoje ciche domy i spieszy bronić tam przed wodną nawałnicą. Ramię przy ramieniu stają wtedy do pracy wszyscy: robotnicy, bogaci kupcy, urzędnicy. Łączy ich wspólna troska i jeden jest wspólny wróg — żywioł. Potem przychodzą zwycięstwa, niecodzienne dni, łagodnie bieżące niebo, a na lądzie, szeroko równą płynie normalnym torem spokojne życie pracowniczego ludu, życie bez burz wewnętrznych i wstrząsów.

Tak o swoim kraju mówiła na odczytach, zorganizowanych przez pewne kobiece stowarzyszenie „wielka i sławna” Jo van Ammers-Küller. Stała na podium wysoka, smukła, spowita w lśniący jedwab wieczorowej sukni Sala, pełna kobiet stała w jej stronę nieustannie uśmiechy zachwytu i była brawa. Przemawiająca pisarka przyjmowała to wszystko bez zdziwienia, uprzejmym skinieniem głowy, jak rzecz jej należną i bardzo zwykłą.

Gdy skończyła, otoczył ją tłum wielbicieli. Wyszukane słowa niemieckie, francuskie i angielskie mieszały się z pospolitymi wykrzyknikami, wyrażanymi po polsku: „Ach, jak ona pięknie mówi!”

I w blasku, jaki wokół siebie rozświecała ta „sławna i wielka” promieniały inne kobiety: bliskość kobiecej „sławy” wywołuje zawsze przyjemne refleksje w tych, które czują się „płcią wiecznie niedocenianą”.

Taka Ammers-Küller jest najlepszym przykładem, że kobieta może być wybitną jednostką. Każda z nas mogłaby być wielką, gdyby...

Kończąc tych cennych rozważań nieśmiało nie dosłyszałam. Koło mnie jakaś elegancka dama prawda głośno komplementy prelegentce.

...i nigdy nie zapominałam, że jest pani najdzielniejszą obrońcą praw kobiecych. To zakończenie Jo van Ammers-Küller przyjęła z zagadkowym uśmiechem.

Podobny uśmiech zjawiał się na jej twarzy, kiedy rozmowę z nią zaczęłam od „sprawy” kobiecej w jej książkach.

Nie jestem feministką, nie należę do żadnych kobiecych organizacji. Ilekroć zjawiam się poraz pierwszy w jakimś kraju zawsze muszę prostować to błędne o mnie pojęcie. „Pochód krzyżowy” dlatego napisałam, że historia sufrażystek angielskich nigdy nie była dotąd należycie przedstawiona. Albo opisywały egzaltowane kobiety, apoteozując sufrażystki, albo mężczyźni, któ-

rzy dawali tylko pełne szyderstwa karykatury. Metody, jakimi walczyły angielskie kobiety o swoje prawa nie były słuszne. Nie mniej historia tych walk miała momenty tragiczne, a wśród sufrażystek wiele było pięknych, szlachetnych postaci.

— Jest pani, wszakże zwolenniczka równouprawnienia?

— Tak. Kobieta w czasie wojny, kiedy bez zmużenia oka opatrywała krwawiące rany i potym przy swoim warsztacie pracy wspólnie z mężczyzną walczyła z niedzą powojenną, wykazała, że potrafi mężczyźnie dotrzymać kroku. Dzisiejsze kobiety pozbyły się niepotrzebnej prudencji i hipokryzji, zaś koleżeństwo z mężczyzną jest podstawą wzajemnego głębszego zrozumienia, na którym opiera się istota szczęśliwego małżeństwa. A szczęście w małżeństwie, dom rodzinny i dzieci to przecież sprawy dla kobiety najważniejsze.

Siedzimy na przeciwko sobie. Jo van Ammers-Küller ma na sobie czarną suknię bez wycięcia, prostą i elegancką, której jedyną ozdobą jest sznurek pereł ciasno zapięty pod szyją. Mówiąc, podkreśla sens słów subtelny ruchami szczupłych rąk. Przy każdym ruchu dłoni mieni się bogatym ogniem brylant osadzony w pierścionku. W kasztanowych włosach, które prześwieca światło, padające z okna, widzę srebrne nitki.

— Czy teraz pani pracuje nad nową jakąś książką?

— Tak. Ale już nie kwestia kobieca — śmieje się szczerym uśmiechem, wesołym refleksem odbijającym się w oczach — mam dosyć tego. Piszę powieść obyczajową z życia Holandii z XVII w.

— Czy dużo czasu poświęca pani na prace przygotowawcze?

— O tak. Nie znośzę rzeczy powierzonej sobie. Życie, odzwierciedlone w książce musi być jak najbliższe prawdy.

— Holandia jest zawsze ulubionym terenem akcji dla pani powieści?

— Właśnie. Moja krytyka „rodzima” po ukazaniu się pierwszych moich książek orzekła, że holenderskość tych powieści uniemożliwi im zdobywanie czytelników w innych krajach.

— powieści pani popularne są wszędzie.

— Tak. „Kobiety z rodu Coornvelts” przetłumaczono na dwa nacje języków.

PODRÓŻ POŚLUBNA

Konduktor do młodej pary, odbywającej podróż poślubną:

— Bardzo państwa przepraszam, ale nasz pociąg stoi już od dwóch godzin na ostatniej stacji.

— Taki podbój świata zapewne daje pani dużo satysfakcji?

— Naturalnie. To samo chyba odczuwa każdy twórca. Piszę po to, aby wypowiedzieć nagromadzone myśli, ale cieszę się, gdy moje



słowa zdobywają świat, jak to pani określa.

Jest pewna siebie, przyzwyczajona do powodzenia. Głowę odchyła lekko w tył ruchem wład-

czym i mówi o swoim powodzeniu bez fałszywej skromności.

— A kiedy wyczuła pani literackie powołanie?

— O, bardzo dawno. Kiedy miała 15 lat, napisałam nowelę,



której tematem była miłość dwojga młodych ludzi. Wydrukowałam ją w tajemnicy przed rodzicami w jednym z pism. Zgorszenie w rodzinie, wie pani, w takiej cze-

Tajemnicza epidemia na Syberii

Władze sowieckie są poważnie zaniepokojone wybuchem tajemniczej epidemii wśród ludności syberyjskiej. Dziwna choroba, która w okręgu zabajkalskim objęła ponad 20.000 osób, objawia się najpierw bólami w kościach, podobnymi do zwykłych niedomagań przy grypie. Stopniowo niedomaganie te obejmują mięśnie i kończą się niedowładem nóg i rąk. Wybuch nieznanej epidemii wywołał wśród ludności miejscowej paniczne nastroje. Mieszkańcy uważają chorobę za dopust Boży i karę za krwawe zbrodnie

bolszewików. Wrogi dla bolszewizmu nastroje powstałe na tym tle wśród ludności syberyjskiej, przebrały takie rozmiary, że wysłana do okręgu zabajkalskiego, gdzie jest największe nasilenie epidemii, specjalna komisja lekarska musiała wrócić do Moskwy, gdyż ludność nie dopuściła lekarzy do łóża chorych. Obserwacje poczynione w tych warunkach przez lekarzy nie dają dostatecznego materiału dla krytycy istoty nowej epidemii, która szerzy się w zastraszający sposób, ogarniając coraz to nowe okręgi.

Zaślubiony księżyc

Angielski podróżnik Richard Steck opowiada interesujące szczegóły na temat wierzby ludu murzyńskiego Ubangi, zamieszkującego południową Afrykę. Szczep ten oddaje częste księżycowi, co jest tym dziwniejsze, że przeważnie w Afryce spotkać się można z kultem słońca. Murzyni uważają, że księżyc jest bratem Marsa i że jest zaślubiony z dwo-

ma żonami — zorzą poranną i gwiazdą polarną.

Nów księżyca połączony jest z tradycyjnym świętem czarnoskórych, oddających się w tym dniu licznym zabawom i tańcom. Dziecko murzyńskie urodzone w okresie nowiu, stanowi prawdziwą pociechę rodzicom, gdyż opiekować się nim będzie „błogosławiony promień księżyca”.

godnej, wytwornej rodzinie holenderskiej było ogromne. Nie mniejsze oburzenie wywołałam w szkole. W ogóle moje postępowanie często wywoływało zgorszenie wśród moich wychowawczyń wzorowej pensji dla panien i w moim domu. Na pensji odsiadywałam kary, w domu musiałam siuchać umoralniających przemów.

A cała moja „nie moralność” polegała na tym, że pragnęłam trochę samodzielności, swobody, takiej, jaką mieli moi rówieśnicy chłopcy. Spacerować po ulicach rodzinnego Delft pod okiem różnorodnych guwernantek były dla mnie nieznośną torturą.

Szczupła twarz bez żadnego maquiillage'u pełna jest całej wesołości. W żywych inteligentnych oczach zapalają się coraz nowe błyski. Słowa padają jedne za drugimi szybkie i lekkie.

— Czy czytelników własnego kraju zdobyła pani równie łatwo jak zagranicę?

— Tak i to jest jeden z moich większych sukcesów. W Holandii autorzy początkujący mają wielką treść, a wielu nie odważy się wydać swoich w tajemnicy pisanych utworów. Krytyka jest bardzo surowa i więcej jest krytyków niż autorów.

— A jaka jest historia pani kariery sceniczej?

— To było moje najgorętsze pragnienie, dla którego zresztą nie znajdowałam zrozumienia wśród moich najbliższych. W Holandii mają wstręt do teatru. Nawet minister sztuki nigdy nie odwiedza tego „podejrzanego” w przekonaniu większości Holendrów przybytku.

— Ale mimo to pani występowała?

— Tak. Spiewałam. Ale moją artystyczną karierę przerwało małżeństwo. Po tym w pisanu mogłam wyładować artystyczne aspiracje. Pisałam zresztą prócz powieści wiele utworów sceniczych, grywanych w Holandii.

— Ale zawsze pani stosunek do życia był oparty o zainteresowania artystyczne?

— Tak. Jestem tylko pisarką. Życie, pojęte wszechstronnie interesuje mnie tak jak artystę malarza krajobraz, który chce malować, że wszystkimi szczegółami. Interesują mnie ludzkie osobiste sprawy i zagadnienia społeczne, ale nie biorę udziału w żad-

MACIERZYŃSTWO

— Wyobraź sobie, Karolku — wola uszczęśliwiona małżonka, po powrocie z ogrodu zoologicznego — nasz Bebuś zaczyna mówić!

— Rzeczywiście?

— Gdyśmy przechodzili koło foki, zawołał dwa razy: „Mama, mama!”

nach pracach społecznych. To nie jest mój żywioł.

— Sprawy wewnętrzne Holandii interesują jednak panią?

— Oczywiście. Ale w moim kraju nie ma takich problemów i kwestii, któreby wymagały czynnego uczestniczenia w nich wszystkich. Holandia nie ma konfliktów wewnętrznych. Życie spokojnym życiem, wypełnionym pracą, której szczęśliwie nie brak tak, jak w innych krajach. Nie ma właściwie rozbieżności politycznych. Ludność jest wierna dy nastii Orląskiej, którą uznają nawet socjaliści. Życie polityczne jest ustabilizowane. Kwestie społeczne nie występują tak jaskrawo jak gdzie indziej. Jest wprawdzie sfera bogatych kupców, dotąd przechowujących bezcenne skarby, ale obok nich sfery robotnicze nie żyją w warunkach takich, któreby rodziły bunt.

— Jest pani bardzo przywiązana do swego kraju?

— Bardzo. Ile razy wyjeżdżam z Holandii, wracam po tym z ogromną radością do swego domu na krańcach Amsterdamu, z którego okien patrzeć mogę na zielone łąki i łagodne holenderskie niebo. Ale podróże lubię pasjami — dorzuca zaraz z młodzieńczą żywiością — to jest już właściwość naszej holenderskiej krwi, która poprzez morza uczyniła nas władcami dalekich bogatych ziem. A tęsknota za domem też jest cechą holenderską. Holendrzy kochają dom i życie rodzinne.

— Czy te liczne podróże nie stawały nigdy w kolizji z obowiązkami domowymi, które pani tak wysoko ceni?

— I które bardzo, bardzo lubię. Mówię w czasie przeszłym, bo dziś już tych obowiązków nie mam. Mam dwóch synów. Kiedy byli mali, poświęcałam im się całkowicie. Nie mnie wtedy nie mogło wyrwać z domu. Pisywałam też mało. Ale dziś moi synowie są dorośli. I chociaż nadal łączą nas najgłębsza więź, wynikająca nie tylko z miłości, ale i ze wspólnego zrozumienia, nie jestem już im tak, codziennie potrzebna, mają swoje domy i swoje życie. A mój mąż... — uśmiech w wesołych oczach zgasił, jak zdmuchnięta świeca i wąskie usta ścisnęły się bolesnym grymasem — z moim mężem, nie na moje żądanie, rozstaliśmy się przed kilku laty.

Czy nieustannie wracając we wszystkich powieściach Jo van Ammers-Küller, temat szczęśliwego małżeństwa był wypowiadaniem jej własnych niepokojących tęsknot?

— Czy dlatego kobiety z jej książek, pełne kobiecości i uczucia tak ciężko nieraz musiały walczyć o swoje szczęście?

Tęgo pytania jednak nie mogłam postawić...

Prof. Jodeusz Zieliński

Siedemdziesiąt lat

I. „I śni się cudny sen Tatianie: Jej śni się...”

I tak dalej z dziesięć zwrotek po kolei. Ludzie w moim wieku wiedzą doskonale, że stać się nielitościwie ściera wrażenia lat ostatnich, ale pozostawia nietkniętymi te, które wyrzeźbiły się w naszym umyśle w dzieciństwie lub wczesnej młodości. Widzę, jakby to było dziś, mego starszego kolegę z piątej klasy, jak monotonnym głosem wkuwa ten wiersz.

Dodam, że działo się to w pensjonacie dokąd mnie oddano, bym lepiej opanował język niemiecki. Tak samo, jak starszego kolegę, który był moim rodakiem.

„Jej śni się...” To jest bardzo ciekawe; fantazja pierwszoklasisty chciwie wchłania szczegóły cudownego snu. Nie można przeszkadzać starszemu: jeszcze, nie daj Boże, sprawi lanie. Ale oto już skończył. Lekcja wykuta, teraz może odłożyć książkę.

— Co czytałeś?

— Puskina, „Sen Tatiany”.

— Jakiej Tatiany?

— No, mój kochany, nie mam

czasu ci opowiadać. Przeczytaj sam, jeżeli masz ochotę.

Podaje mi książkę. Z pietyzmem biorę ją do ręki; ileż tam musi być cudów, sądząc z tego, co usłyszałam.

Zaczynam ni to czytać, ni to przerzucać.

„Wujaszek mój, uczciwych zasad...” „Wioska, gdzie nudził się Onegin...” itd. Nie to, nie to. Wyśladam się, ale nie znajduję nic cudownego. Mani wreszcie: „I śni się cudny...” O to co innego, to już do rzeczy. Można to z przyjemnością i z wciąż wzrastającym zamieraniem serca przeczytać. A reszta — niech poczeka.

Nic nie szkodzi, poczekało i doczekało się. Właściwie odwrotnie, doczekałam się ja.

II.

Ma się rozumieć, że każdy owoc ma swój czas. I dla mnie, dziewięcioletniego malca, właśnie takie ujęcie Puskina było najwłaściwsze.

Wyrosłem, o ile w ogóle wyrosłem, w rodzinie staropolskiej. Na etażerze w gabinecie ojca stało małe popiersie Mickiewicza, a

jego dzieła — prawda, że w niekompletnym petersburskim wydaniu — były moją pierwszą lekturą. Oczywiście nie wszystkie, a tylko te, które były dla mnie dostępne; uważała na to mój ojciec.

A więc przede wszystkim — balady i romanse. Diabłów i widm było tam pod dostatkiem: sam Mefisto w „Pani Twardowskiej”, przybysze z tamtego świata w „Liliach”, „To lubię”, „Rybka” i t. d. Następnie druga część „Dziadów” z licznymi widmami, czasem dobrymi, ale przeważnie złymi. I oto teraz do tego towarzystwa przybija całkiem naturalnie „półżuraw i półkot” i reszta.

I tak samo naturalnie znalazły się w mej świadomości dwa odłamki nieodłączne obrazy dwóch słowiańskich Dioskurów: Mickiewicza i Puskina.

III.

We wspomnianym petersburskim wydaniu mieścił się również życiorys polskiego poety. Oczywiście, że nie od razu zwrócił moją uwagę; na razie było nie o tego. Kiedy wreszcie to nastąpiło — pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, było imię Puskina. Okazuje się, że obaj poeci znali się doskonale, spotykali się w Petersburgu i jego okolicach i byli nawet przyjaciółmi. Ze wzruszeniem

czytałem te stronnice — a częściowo nawet z trwogą: „co będzie, jeżeli ta przyjaźń okaże się tylko chwilowa, jeżeli w ślad za nią przyjdzie niechęć?”. Od dziesiątki 1830 roku unosiły się jeszcze w powietrzu. Ja sam niejednokrotnie wyczułem ich wpływ na siebie; Rosja i Polska, Puszkini i Mickiewicz — czyż mogli do końca pozostać przyjaciółmi? Zyciorys moim nie rozczarował: o późniejszych nieporozumieniach nie w nim nie było.

Wprawdzie wydanie było, jak już wspomniałem, niepełne. Szczególnie rzucało się w oczy brak III części „Dziadów”. Zdaje się, że przyszło mi wówczas do głowy spytać o przyczynę tego braku. Z zagranicy właśnie wróciła pewna znajoma pani i przyniosła memu ojcu w prezencie paryskie wydanie Mickiewicza. Jak udało się jej ukryć je przed bystrym okiem straży granicznej — nie dowiedziałem się nigdy. Twierdzenie, że przyniosła te książki w muflę, wydało mi się dość nieprawdopodobne. Ale to nie jest ważne — najważniejsze było to, że piękne zielone tomy znalazły się w bibliotece mego ojca i — co samo przez się rozumie się — również w rękach jego syna.

IV.

Było to prawdziwe olśnienie.

Wiele nowego było w tym wydaniu, a pierwsze miejsce zajmowała upragniona III część „Dziadów”. Chciwie zacząłem ją pożerać. Przede wszystkim oczywiście tragedię wileńską, ten I akt niedokończonego dramatu, po czym muza poety powróciła do bliższego ciągu dalszy znanym epizodem o Petersburgu, ściślej — szeregiem epizodów. Jednym z nich, z kolei czwartym, był „Pomnik Piotra Wielkiego”.

„Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńcy, wzięwszy się za ręce: Jeden, ów pielgrzym, przybył z Zachodu, Nieznana carskiej ofiarze przemoc; Drugi był wieszczem ruskim narodu, Sławny pieśniami na całej Północy. Znali się z sobą niedługo, lecz wiele: I od dni kilku już są przyjaciółmi.”

— Kto to są ci dwaj? — spytałem ojca.

— Mógłbyś sam się domyślić. Przybył z Zachodu — to Mickiewicz; wieszcz ruskiego narodu — to Puszkini.

V. Minęło wiele lat. Wojna światowa zbliżała się do swego tragicznego zakończenia: w Petersburgu życie kipiało. Demonstracje, wiece i mowy, mowy, mowy...

Miedzy tematami, poruszonymi na tych przemówieniach, znalazł się i Mickiewicz — przede wszystkim stosunek jego do Puskina. Nastroj publiczności był najżywczyliwszy.

Pewien mój dobry znajomy z owych czasów — nie wiem, czy żyje on jeszcze i czy mnie pamięta — wygłaszając przemówienie na ten temat, zacytował i ów wiersz w przekładzie rosyjskim. Akcentując umyślnie słowa „pod jednym płaszczem” dodał od siebie: „A jednak byłoby lepiej, aby każdy z nich miał własny płaszcz”. Słowa te podobały się publiczności — rosyjskiej tak samo, jak sam mówca.

I ja przez siedemdziesiąt lat, nosząc w świadomości swej połączone podobizny obu poetów, do słów tych mogę dodać tylko szczerą pragnienie, aby ci dwaj, mając każdy swój, własny płaszcz, mimo to pozostali przyjaciółmi.

— Któż to są ci dwaj? — Domyślić się nie trudno: Polska Mickiewicza i Rosja Puskina.

(Tłum. z „Russkoje Slovo”).